WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 44 (110)
Rok III
3 XI 1963 r.

WOJCIECH KAWIŃSKI

List do poety

Cienkie jak włos
milczenie
owoc na gałęzi rozcięty
na pół
z doliny toczy się jabłko słońca
jeziorem
płynie kamień
w kształcie ryby

I jesteś sam
w bezwietrznym sadzie
zbierający
obrazy powietrza
oddychający wątłym porankiem
wczorajszym
motyl nad czołem twoim

ciemnymi skrzydłami
przeciął
przestrzeń nagle —

WIESŁAW KULIKOWSKI

Południe

Morwy przybierają największą słodycz,
a piołuny gorycz największą.

Nie do zniesienia staje się cisza.
Ręce poparzone od ogrodów nie udźwigną
nawet źdźbła trawy.

Słonecznik upadł pod słońcem.
Upał.

— Wiatr nie może się ruszyć z miejsca
i nie może czekać.

Serce wybija południe...

JÓZEF JANOWSKI

Rzeszów — Jasło

W wagonie drugiej klasy
ludziom
ocieka pot
z rąk
do
rąk
wędrują karty
pachną ubrania naftaliną
robotnicy mają
hydrografię na palcach
kobiety
alabastrowe szyje
nylonowe bluzki
kobiety
mają duże oczy

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

Nie rozpraszać wysiłków

W okresie ostatnich miesięcy notujemy pewne ożywienie w działalności stowarzyszeń społeczno-kulturalnych na terenie Rzeszowszczyzny. Zwłaszcza niektóre z grupy organizacji tego typu, jak Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie, Stowarzyszenie Miłośników Jarosławia, czy też Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu wykazać się mogą pokaźnym dorobkiem.

Przejawy tego ożywienia da się dostrzec zwłaszcza w dziedzinie publikacji. Oto dzięki staraniom rzeszowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki ukazała się w br. monumentalna, wzorowo wydana przez wrocławskie Ossolineum „Księga biecka". Jest to pięknie ilustrowana publikacja studiów i szkiców kilkunastu autorów, podejmujących różne aspekty przeszłości tego prastarego, podkarpackiego grodu. Księga „Biecz" ze względu na staranne opracowanie naukowe i piękny kształt edytorski w niczym nie ustępuje innym tego typu krajowym publikacjom i bez wątpienia stanowić będzie godną uwagi pamiątkę obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego w Rzeszowskiem.

Po kilkuletniej przerwie Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki podjęło również wydanie „Rocznika województwa rzeszowskiego". Wydano już dwa z zaległych tomów, prace nad publikacją trzeciego są już poważnie zaawansowane.

Z innych poczynań tego towarzystwa trzeba tutaj wspomnieć o konkursie na pracę naukową, poświęconą problematyce Rzeszowszczyzny. Konkurs ten spotkał się z dużym zainteresowaniem, a jego plonem jest kilka interesujących prac, dotyczących zarówno przeszłości, jak i współczesnych problemów województwa. Szczególnie znamienny jest — moim zdaniem — udział badaczy spoza Rzeszowa dowodzący, że również w małych miasteczkach nie brak ludzi, którzy podejmują badania naukowe.

Na marginesie powyższego konkursu narodził się pomysł, aby w przyszłości przekształcić konkurs z jednorazowego przedsięwzięcia w stałą imprezę. Projekt bez wątpienia słuszny, jego realizacja jednak przekracza możliwości (finansowe) inicjatorów — niezbędna jest tutaj pomoc Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie.

Dużą ruchliwość wykazuje również Stowarzyszenie Miłośników Jarosławia, które dysponując skromnymi środkami potrafi sporo zrobić dla swego miasta. Zabiega więc o właściwą konserwację licznych zabytków architektury i sztuki, organizuje odczyty i wycieczki, wydaje na powielaczu „Rocznik jarosławski". W pierwszej połowie br. ukazał się „Rocznik jarosławski 1962 r.". Jest to obecnie najbardziej regularnie wydawany rocznik w Rzeszowskiem.

A jednak w pracy towarzystw nie brak luk i pomyłek. Jednym z poważnych mankamentów jest brak koordynacji poczynań poszczególnych organizacji. Każda z nich działa na własną rękę, nie oglądając się na plany sąsiadów.

Rezultaty? Podejmowanie badań na identyczne tematy, publikowanie tych samych materiałów we własnych wydawnictwach, a co za tym idzie — nieekonomiczne wydawanie i tak skromnych zasobów. Oto pewna — skądinąd bardzo ciekawa rozprawa dotycząca przeszłości jednej z ziem Rzeszowszczyzny — wydana została w roczniku przemyskim i rzeszowskim, następnie zaś ukazała się w formie książki.

Nie tylko można, ale trzeba na przyszłość uniknąć podobnych pomyłek. W Rzeszowie mówi się od paru miesięcy o sposobach naprawy. Najbardziej wydaje się być realny projekt — zresztą nienowy — powołania rzeszowskiego stowarzyszenia społeczno-kulturalnego, które spełniałoby funkcję federacji wszystkich towarzystw, istniejących na terenie województwa. Poszczególne towarzystwa zachowałyby pełną samodzielność, ale byłyby zobowiązane do koordynacji swych planów. W ten sposób uniknięto by pomyłek, stwarzając równocześnie możliwości wspólnego podejmowania wielu prac.

Również treść prac naszych stowarzyszeń budzi sporo wątpliwości. Tematyka publikacji regionalnych obraca się, z nielicznymi tylko wyjątkami, wokół spraw bardzo dalekiej przeszłości, badania nad rozległą, a tak aktualną problematyką współczesności znajdują się na szarym końcu.

Nasze stowarzyszenia regionalne muszą wyjść z zaklętego kręgu zafascynowania odległą przeszłością. Nie znaczy to bynajmniej, by w czambuł potępiać poszukiwania badawcze np. z okresu wczesnego średniowiecza czy innych okresów dziejów Polski feudalnej — są to wysiłki pożyteczne i zasługujące na poparcie, jednak winny być zachowane odpowiednie proporcje. Ale obok tych badań powinny znaleźć się, i to przynajmniej w tym samym zakresie, badania nad zagadnieniami dnia dzisiejszego i wczorajszego. Przed badaczami regionu stoją ka-

(Dokończenie na str. 3)

Fot. Z. POSTĘPSKI

Teatr Narodowy w Warszawie przygotował dla swych najmłodszych widzów barwne widowisko Jana Brzechwy „Niezwykłe przygody pana Kleksa" w reżyserii Kazimierza Dejmka.
Na zdjęciu: Jan Brzechwa wśród aktorów grających w jego sztuce.
CAF — fot. UCHYMIAK

JAN GRYGIEL

U schyłku sielanki

Jan Bolesław Ożóg zyskał sobie u krytyków i czytelników etykietkę elegijnego i trochę sentymentalnego sielankopisarza. Nie bez powodu. W dwunastu tomach wydanych przez tego poetę wierszy, od debiutanckiego „Wyjazdu wnuka" aż po ostatni zbiorek „W dzień gdy noc" dominuje temat wiejski. Ożóg uporczywie i obsesyjnie eksploatuje poetycko swój kraj lat dziecinnych i młodzieńczych, podrzeszowską wieś z jej zgrzebną urodą, obyczajami i tradycjami. A ponieważ od dawna już odszedł z tego świata do środowiska wielkomiejskiego i nigdy w pełni nie potrafił się tam zasymilować, widzi ojcowską wieś jak „raj utracony", jak krainę niedosiężnej już teraz szczęśliwości. Stąd idealizacja uroków wiejskości nawet wtedy, gdy założenia autentyzmu, których poeta jest wojującym wyznawcą, chronią tę lirykę przed konwencjonalnym bukolizmem. Stąd eligijność tonu i dalekie pogłosy sentymentalizmu.

Mimo wszystko jednak wieś w wierszach Ożoga nie przypomina malowniczego oleodruku. Chropawy, daleki od gładkości tok frazy poetyckiej z kantyczkowymi zaśpiewami, ostrymi dysonansami, wyrafinowanym prymitywizmem odtwarza w sposób przekonywający i sugestywny syntezę wsi, która była i której już nie ma. Jeśli można było mówić o skłonności poety do sielankowości, to sielankowość ta była wciąż podszyta niepokojem i świadomością niepowetowanej straty, zakłócana zgrzytami konfliktów bohatera lirycznego ze społecznością Arkadii. U podłoża najpogodniejszych liryków ukrywał się tragizm wyobcowania poety. Do kraju dzieciństwa nie ma powrotu, bo już w takiej postaci jak dawniej nie istnieje, miasto zaś to apokaliptyczny potwór nienawistny dla kolbuszowskiego chłopa.

Ten dramat zawieszonego w społecznej próżni poety z większą niż dotąd siłą doszedł do głosu w ostatnim a wyżej już wspomnianym tomiku wierszy Ożoga. Tu znika zupełnie spokojna elegijność tonu, znika sielanka, pojawiają się ostre konflikty i gwałtowne kontrasty. Jeśli wspomnienie, to z osadem goryczy, jeśli tęsknota, to rozpaczliwa.

Dlatego zawsze cni mi się za wami
Dlatego dalej wieś zielona
do okien w mieście mi się pcha
i niespokojna śmierć — ma żona
zamyka mnie na progi dwa.
(„ELEGIA KRAKOWSKA")

...Bo wszystko to, żem orał, żął
Żem się po polu z tobą tłukł
żeś grabał w kurzu ze mną perz,
że z tobą grad mnie w łąkach ciął,
Żeś mi do szkoły kromkę niósł
Żebym rósł
to bedlka i purchawka, dym
(„CHICAGO")

Tu pojawia się ponura sylwetka nędzarza-samotnika, wyobcowanego ze społeczeństwa („Ten, który zna") wiersz gorzki o „Kalekach"; strofy pełne żalu o ojcu.

Ciągle krzyżują się motywy śmierci, welonu i trumny, zdrady i żądzy, obłąkania i rozpaczy. Kilkakrotnie występuje ostra antynomia między wielkim miastem (mityczne Chicago) gdzie... „tak jak w kinie: elektryczne dzwony, elektryczne organy i kaloryfery" a człowiekiem wsi:"

„Dziecko
w nieckach
w herbacie z leszczyny
moja siostra kąpie i słucha.
Jak chorągiew w katedrze
żałobna
na piecu się suszy pieluchа".
(„MIASTO")

Ale zanik sielanki i idylli ujawnia się nie tylko w sferze tematu, w treści, w zmianie realiów poetyckich. Bardziej dramatyczna staje się forma. Ileż tu pęknieć, dysonansów, brutalnych zestawień słownych, ileż dynamiki w obrazowaniu. Wiersze stają się mniej komunikatywne, świadomie niejasne i wieloznaczne, ale równocześnie zaskakują świeżością i nadrealistyczną nieraz wizyjnością. „W dzień gdy noc" stanowi niewątpliwy przełom w twórczości poetyckiej Jana Bolesława Ożoga i jest chyba najsilniejszym wybuchem cierpkiego liryzmu i tragicznej rozterki poety.

Z kraju melancholijnej łagodności odszedł chyba bezpowrotnie.

*) *JAN BOLESŁAW OŻÓG: „W dzień gdy noc" WL Kraków 1963.*

CECYLIA BŁOŃSKA

Jana Matejki — obrazy i pamiątki w Rzeszowie

W Muzeum w Rzeszowie otwarto wystawę „Jan Matejko, obrazy i pamiątki".

Zorganizowana przez Muzeum Narodowe w Krakowie wespół z rzeszowską placówką muzealną, ekspozycja zawiera ponad 70 eksponatów wypożyczonych z Domu Jana Matejki w Krakowie. Dom ten, pozostający pod zarządem Muzeum Narodowego w roku 1953, w sześćdziesiątą rocznicę śmierci malarza, został na nowo urządzony, wyremontowany, stanowiąc wraz z całym zespołem opublikowanych w tymże okresie prac, poważny przyczynek do upamiętnienia w dzisiejszym pokoleniu dzieła wielkiego artysty, do specjalistycznych studiów nad jego życiem i twórczością. Od Roku Matejkowskiego, w którym odbyła się również sesja Państwowego Instytutu Sztuki minęło 10 lat owocnych w dalsze prace i badania.

Wystawa czynna w Rzeszowie w 70 rocznicę zgonu Matejki zawiera oryginalne szkice, rysunki, prace olejne, studia oraz osobiste pamiątki, fotografie związane z całym prawie życiem malarza.

Obok takich dzieł, jak portret olejny Piotra Moszyńskiego, portret Marceliny Czartoryskiej, Zygmunt III Waza, Anna Jagiellonka, zwiedzający odnajdzie tu znane mu z oryginałów, z rozlicznych reprodukcji szkice do wielkich płócien, które stanowiąc monumentalny cykl poświęcony dziejom Polski, na stałe przeszły do historii polskiej kultury.

Znane były metody malarskiego warsztatu Jana Matejki, tysiącem rysunków poprzedzającego podjęcie pracy na wielkim płótnie, które — jak zapewniał — niejednokrotnie przejmowało go lękiem. Oto na wystawie jeden ze szkiców do „Mikołaja Kopernika" ukończonego w roku 1873. Z tego okresu pozostała karykatura rysowana ołówkiem: Matejko przy malowaniu Kopernika, przedstawiająca pogrążonego w twórczym trudzie malarza, a obok beztrosko hasające dzieci (prawdopodobnie aluzja do niezbyt fortunnego obyczaju egoistycznej małżonki Teodory, podrzucającej do pracowni dziatwę, gdy najbardziej potrzebował spokoju).

Wraz z reprodukcją „Kazania Skargi", „Rejtana na Sejmie Warszawskim", „Stefana Batorego pod Pskowem" (płócien znajdujących się w Muzeum Narodowym w Warszawie), z reprodukcją „Kościuszki pod Racławicami" — stanowiącą wraz z „Hołdem pruskim" i „Wernyhorą" własność krakowskiego Muzeum Narodowego i innych wielkich obrazów, szczególnie interesujące są owe pełne pasji i wyrazu szkice zbroi Stefana Batorego, słynny szkic konia do „Bitwy pod Grunwaldem", rzędy na konia, rękojeści miecza, rysowane ołówkiem fragmenty starej broni, które później w obrazach zagrają pełnią barw, roziskrzą się tysięcznymi kolorami, stanowiąc owo niepowtarzalne matejkowskie tło historycznej scenerii.

Jest wśród eksponatów rzeszowskiej wystawy diadem naszyty perłami — to jedno z akcesoriów malarskiej pracowni Matejki; w dążeniu do wierności szczegółu, malarz zakupywał fragmenty starych ozdób, zbroi. Kolekcjonował skrawki złotolitych tkanin — gdy był młody i nie stać go jeszcze było na zakup całych strojów — i tak długo układał, i nadawał im zmienny kształt, aż w załomach fałdów, w grze świateł i cieni odnajdywał owo olśniewające go bogactwo barwy, materii, które jeszcze swym pędzlem na obrazach uwypuklał i dalej uświetniał.

Do wszystkich nieomal znanych płócien Matejki znaleźć można na nowo otwartej wystawie szkice, studia, fragmenty. Mówi ona o niepowtarzalnej roli Matejki w dziejach polskiego malarstwa. Znawcy zdolna jest ujawnić słabości podjętej przezeń „misji romantycznego wizjonera historii", jak określa to Janusz Bogucki, w swej książce „Matejko". Miłośnikowi matejkowskiego dzieła przypomnieć może pewne szczegóły z osobistego życia rodzinnego wielkiego malarza.

Wystawa, która czynna będzie w Rzeszowie do połowy grudnia br. stanowi początek stałej współpracy podjętej przez Muzeum Narodowe w Krakowie i Muzeum w Rzeszowie. Kierunki tego współdziałania nakreślone zostały przez kierownictwa obu muzeów w Wydziale Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie. Dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie mgr Jerzy Banach widzi możliwości tej współpracy w kierowaniu do Ośrodka wystaw szczególnie cennych, a wśród nich kolejnej poświęconej miniaturze europejskiej w okresie dwóch wieków oraz japońskim drzeworytom, w organizowaniu odczytów wybitnych prelegentów z muzeum krakowskiego, w wymianie specyficznych doświadczeń z dziedziny konserwacji zabytków sztuki oraz w organizowaniu wymiennych wycieczek do Muzeum Krakowa, z kół przyjaciół rzeszowskiego Muzeum, do placówek zaś muzealnych Rzeszowszczyzny miłośników skupionych w kołach przyjaciół Muzeum Narodowego.

W urządzaniu matejkowskiej wystawy, w uroczystościach jej otwarcia w Rzeszowie uczestniczyli przedstawiciele Muzeum Narodowego i Domu Matejki.

Na zdjęciach: Jan Matejko — „Kazanie Skargi", Głowa króla oraz „Szkic batalistyczny". Rysunek ołówkiem.

CECYLIA BŁOŃSKA

„Racja stanu" i seksuologia

Wprawdzie już przed kilku laty zakończył się etap kościelnego planu Millenium, poświęcony realizacji wytycznych episkopatu w dziedzinie obyczajów i etyki seksualnej, ale najwyższe kościelne autorytety raz po raz powracają do tej problematyki. Jak w refrenie powtarzane są zawołania tzw. Roku Życia (trzeci rok kościelnego planu Millenium 1959 — 1960).

Przypomnijmy krótko co episkopat proponował społeczeństwu w tym czasie. Przede wszystkim nieograniczone mnożenie się. Wysunięto postulat szybkiego zwiększenia populacji, tak, by w ciągu lat kilku czy kilkunastu przybyło kilkadziesiąt milionów ludności. Twierdzono, że już obecnie liczba 80 mln nie byłaby zbyt wysoka w stosunku do naszych możliwości gospodarczych. Gwałtowny przyrost naturalny miałby stanowić o „mocarstwowości" naszego kraju.

Hierarchia ostry nacisk położyła na przestrzeganie przez katolików zasad teologii moralnej. Pod groźbą ekskomuniki zakazano kobietom dokonywać zabiegów przerywania ciąży, bez względu na okoliczności towarzyszące takiej decyzji. Zakazano także sztucznego ograniczania urodzeń. Na stosowanie tzw. naturalnych metod (kalendarzyk małżeński, metoda termiczna) zezwolono jedynie małżeństwom wielodzietnym. Inne rodziny, zdaniem władz kościelnych, nie mają moralnych uprawnień do posługiwania się i tymi sposobami regulacji urodzeń.

Episkopat, wobec braku podatności wierzących na te postulaty i wobec lekceważenia kościelnych kar, usiłował przeprowadzić swój program także w inny sposób. Odwołał się do lekarzy, położnych i pielęgniarek, kategorycznie zakazując im popularyzacji środków antykoncepcyjnych i przeprowadzania zabiegów przerywania ciąży. Gdyby udało się hierarchii zrealizować w skali masowej te założenia, praktycznie uniemożliwiono by kobietom korzystanie z pomocy lekarskiej i skutecznie osłabiono by akcję, której celem jest szerzenie kultury seksualnego współżycia.

Jednakże decydująca część służby zdrowia pozostała obojętna wobec tej inspiracji. W związku z tym w ciągu ubiegłych lat wielokrotnie wysocy dostojnicy Kościoła atakowali lekarzy za nieposłuszeństwo, obrzucali ich inwektywami, wywierali presję w celu skłonienia służby zdrowia do uległości wobec żądań biskupów.

W argumentacji władz kościelnych posłużono się motywami społecznymi. Jeśli — twierdzono — sytuacja się nie zmieni, to w ciągu kilkunastu lat naród zostanie biologicznie zniszczony, opustoszeją miasta, kraj nie będzie miał żadnej szansy utrzymania się na fali przemian międzynarodowych, w których liczą się tylko społeczeństwa wielomilionowe.

Argumentacji takiej przeczą najprostsze, powszechnie znane fakty. W ciągu powojennego dwudziestolecia ludność Polski zwiększyła się o około 1/8 obecnego stanu ludności. Jest to tempo przyrostu, jakie notuje tylko niewiele narodów w świecie. Dziś, choć zbliża się ono do przeciętnego, światowego tempa, nadal znajdujemy się w czołówce najbardziej dynamicznych biologicznie narodów. Owa apokaliptyczna wizja zagłady narodu jest więc co najmniej przedwczesna.

Jasne jest również dla każdego zdrowo myślącego, współczesnego człowieka, że o pozycji narodu obecnie nie decyduje liczba obywateli tego narodu, lecz inne wskaźniki, wyznaczające jego światową rangę — ogólny postęp w dziedzinie gospodarczej, technicznej, kulturalnej i umysłowej. Pod tym względem bynajmniej nie należymy do tych, którzy wloką się w ogonie dziejów.

Z wielu zastrzeżeń, jakie zgłaszają wobec obecnej sytuacji w dziedzinie populacji czynniki kościelne, w pewnym stopniu uznać można zastrzeżenia dotyczące przerywania ciąży. Dokonywanie tysięcy zabiegów przerwania ciąży musi budzić powszechne opory. Ale ta metoda „regulacji" zazwyczaj stanowi ostateczność, wynik braku kultury. Kobiety decydujące się na ten krok — decyzję taką podejmują z najróżniejszych przyczyn. Często bywa to postanowienie lekkomyślne, jakże często jednak stoją za nim poważne względy zdrowotne, socjologiczne i inne.

Nie można odmawiać ludziom prawa do regulowania rozwoju własnej rodziny. Trzeba natomiast uczynić wszystko, aby regulacji tej nie dokonywano na ginekologicznym fotelu. Jest to możliwe. Możliwości takiej kościelna hierarchia nie chce uznać, choć mogłaby wiele uczynić, aby ją urzeczywistnić. Zezwalając katolikom jedynie na stosowanie tzw. naturalnych środków regulacji urodzin, które — jak powszechnie wiadomo — często zawodzą, doprowadza do tego, że ci, którzy podporządkowują się kościelnym dyrektywom, później stają w obliczu istotnie dramatycznych dylematów.

Dziwne, że hierarchia katolicka tak kurczowo broni swego w tej sprawie stanowiska. Inne kościoły chrześcijańskie w tym samym Piśmie św., na które powołują się katoliccy biskupi, odczytały zagadnienie to inaczej. Uznały możliwość regulacji urodzeń także poprzez zastosowanie sztucznych środków zapobiegania ciąży i nie dopatrzyły się w tym uchybień moralnych.

WIESŁAW MYSŁEK

Wywiad ze Steinbeckiem w ZSRR

John Steinbeck, który przyjechał do Związku Radzieckiego na miesięczny pobyt, udzielił wywiadu przedstawicielowi „Izwiestii".

— W ZSRR jestem już po raz trzeci — powiedział pisarz. Ciekawość — oto co mnie tu przywiodło. Kiedy zaproponowano mi tę podróż w ramach wymiany kulturalnej między Związkiem Radzieckim i USA, ucieszyłem się. Pomyślałem sobie, najwyższy czas tam pojechać. Przecież tak dawno tam nie byłem.

— Jak pojmuję zadanie pisarza? To trudne pytanie. Sądzę, że pisarz powinien krytykować niedostatki i wady. Ale musi także w jakiś sposób afirmować życie.

— W powieści „Zima naszego niepokoju", która wydana została także w Związku Radzieckim, chciałem ukazać symptomy poważnej choroby, nękającej nasze, i nie tylko nasze społeczeństwo. Jej bohater pokłada nadzieję w swej córce, w młodym pokoleniu.

— Największe znaczenie mają dziś jak najszersze kontakty między ludźmi, rządami i krajami. Kiedy kontakty te przerywają się — grozi niebezpieczeństwo.

Nie rozpraszać wysiłków

(Dokończenie ze str. 1)

pitalne zadania. Trzeba, póki jeszcze nie jest za późno — uchwycić mechanizm przemian, przeobrażania się np. wsi rzeszowskiej z zacofanej, biednej, drewnianej w nowoczesną, murowaną, korzystającą ze wszystkich zdobyczy cywilizacji. Trzeba utrwalić pierwsze niełatwe dni rewolucji na naszym terenie, pierwsze doniosłe akty nowej władzy: parcelację obszarniczej ziemi, nacjonalizację zakładów przemysłowych. Trzeba odnotowywać zmiany w świadomości ludzi, którzy dzięki perspektywom, jakie dał krajowi nasz ustrój, dzięki uporczywej własnej pracy — zmieniają nie do poznania warunki swego życia.

Trzeba więc pokazać w jaki sposób, w jakich trudnościach dokonywał się wielki awans naszej ziemi.

Są to pierwszoplanowe zadania w przededniu obchodów 20-lecia Polski Ludowej. Stowarzyszenia społeczno-kulturalne powinny stać się inspiratorami badań nad dwudziestoleciem naszego państwa.

Swoje rozważania zakończę poparciem propozycji Wydziału Kultury WRN, w myśl których należałoby zwołać zjazd przedstawicieli wszystkich stowarzyszeń społeczno-kulturalnych, utworzyć ogólnowojewódzką organizację ruchu, przedyskutować sposoby koordynacji zamierzeń, opracować plan badań nad przemianami okresu dwudziestolecia.

Wszystko to wydaje się być realne, więc może uda się je jeszcze w tym roku zrealizować?

ZB. WAWSZCZAK

Uznanie dla polskich prac na Biennale Paryskim

Polscy artyści wystawiający na III Biennale Młodych, które rozpoczęło się w Paryżu 29 września, zyskali sobie uznanie krytyków. Recenzent „Les Lettres Francaises" — Michel Troche szczególnie wysoko ocenił płótna Włodzimierza Buczka, poświęcone gettu warszawskiemu i grupy rodzinne Kiejstuta Bereźnickiego. Krytyk zachwyca się także rzeźbami Olgierda Truszyńskiego („Akrobata" i „Człowiek") oraz wyróżnia prace Krzysztofa Pankiewicza (dekoracja teatralna).

CZESŁAW KŁAK

CZAS PRZESZŁY

MIMO KILKU powojennych wznowień wydawniczych, twórczość nowelistyczna i powieściowa Piotra Choynowskiego nie jest zbyt popularna. Jedynie „Kuźnia" — powieść historyczna z lat 1861 — 1863 znalazła się w zestawie lektury uzupełniającej dla uczniów szkół średnich. Współcześni zaliczali tego autora do najwybitniejszych stylistów polskich. Kazimierz Czachowski w „Polskim słowniku biograficznym" (Kraków 1937) tak charakteryzuje Choynowskiego: „Główną siłą jego talentu był dar realistycznej obserwacji, podchwytującej zawsze tylko najdosadniejsze szczegóły, a nadto poparty nigdy nie zawodzącą plastyką dramatycznego przedstawiania środowiska i osób oraz doskonałą sprawnością żywego uruchamiania akcji w nowelach". Juliusz Kleiner wyprowadza jego twórczość z tradycji Prusa i Maupassanta. Wacław Kubacki zestawia go z Balzakiem. Wszyscy stwierdzają, że Choynowski był radykałem i tradycjonalistą w jednej osobie. Ów tradycjonalizm przejawiający się w apotezie szlacheckiej krzepy i brawurowości, skompromitowany dostatecznie w umysłach pokolenia, które przetrwało drugą wojnę światową, sprawił, być może, że książki Choynowskiego trącą dzisiaj myszką. Nie wszystkie, to pewne.

W twórczości nowelisty i powieściopisarza jedyny dramat „Ruchome piaski" zajmuje osobliwe miejsce. Powstał w 1913 roku. Wystawił go Pawlikowski w Teatrze Krakowskim. Sztuka szybko zeszła z afisza nie wzbudziwszy głębszego zainteresowania odbiorców. Przyczyny niepowodzenia tkwiły w problematyce utworu. Choynowski wziął bowiem na warsztat proces kształtowania się stosunków kapitalistycznych w Polsce, który w tym czasie był już zakończony. Współczesna temu utworowi „Moralność pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej przedstawiała zjawiska historycznie nowsze i dlatego mogła zawładnąć teatralną publicznością, spychając na margines pozytywistyczny w gruncie rzeczy dramat Piotra Choynowskiego. Fiasko teatralne „Ruchomych piasków" niewątpliwie zaważyło na dalszej twórczości pisarza. Nigdy już nie powrócił do formy dramatu, mimo że wewnętrzna organizacja jego prozy w wielu wypadkach miała charakter sceniczny.

Dla współczesnego odbiorcy sztuka Choynowskiego przedstawia wartość niepowtarzalną, gdyż w przeciwieństwie do Zapolskiej, ukazuje nie tylko obyczajowość mieszczańską i brudy życia rodzinnego, ale przede wszystkim mechanizm tworzenia się nowych stosunków społecznych, w których pieniądz determinuje postępowanie bohaterów. Jest niejako artystycznym pendant do słów Marksa i Engelsa, którzy w „Manifeście Komunistycznym" z naukową ścisłością określili rolę kapitału w społeczeństwie. W „Ruchomych piaskach" Choynowski rozszyfrowuje sposób powstawania zależności deklasującej się szlachty od finansistów Królestwa Polskiego w drugiej połowie XIX wieku. Surowo ocenia moralność „przodującej warstwy", która osiągnąwszy wpływy w kraju przejęła od ziemiaństwa sposób bycia. Problem ten widzi autor o wiele ostrzej niż jego poprzednicy — przedstawiciele wielkiej powieści pozytywistycznej, gdyż działa z pewnego dystansu historycznego. Nie ma złudzeń co do wartości, zwłaszcza społeczno-moralnych nowego ustroju. Krytyka tych wartości nadaje utworowi siłę oddziaływania. Walory poznawcze zespolone z dużym kunsztem warsztatu dramaturgicznego czynią z „Ruchomych piasków" pozycję cenną dla współczesnego teatru polskiego.

Z uznaniem należy zatem powitać decyzję teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, który wprowadził tę sztukę na deski sceny. Tak się złożyło, że równocześnie „Ruchome piaski" wystawił teatr o największym zasięgu, Teatr Telewizji. Porównanie obydwu spektakli wypada na niekorzyść rzeszowskiego, czemu nie należy się zbytnio dziwić, zważywszy, iż Telewizja dysponuje odrębnymi możliwościami inscenizacyjnymi i większą swobodą w doborze aktorów. Nie chodzi jednak o klasyfikację według schematu: kto lepiej. Przedstawienie rzeszowskie mogło wypaść o wiele korzystniej, gdyby reżyser — Elwira Turska zachowała jednolitość scenicznej formy. Stało się jednak inaczej. Pierwsza scena, w której do salonu wchodzi służąca z wiadrem węgla, sugerowała, że rozegra się dramat w konwencji naturalistycznej. Krzykliwa Karolcia przewraca wiadro, węgiel rozsypuje się po podłodze, jego zbieranie zajmuje dobrą chwilę. Podobne rysy wystąpiły w innych scenach. Oto Szrajer siada na fotelu o trzech nogach. Powstaje zamieszanie. Stary mebel upada tak, by widzowie spostrzegli sypiące się z niego próchno. Scenka ta gra poważną rolę, podbudowuje niejako postulat o absolutnej ruinie właścicielki pensjonatu — pani Wróblewskiej. Ten sam fotel „zagra" raz jeszcze przewrócony ostrożną ręką mecenasa Przyciechowskiego. Szczegóły te połączone z ogólnym charakterem oprawy scenograficznej Karola Gajewskiego, ciężkiej jak ciężki był wystrój wnętrz mieszczańskich wyraźnie narzucały styl gry aktorskiej. Można się sprzeczać czy taki kierunek jest właściwy, skoro „Ruchome piaski" tylko pozornie są sztuką naturalistyczną. Ale nie wolno odmawiać realizatorom prawa wyboru, nawet gdy widz dostrzega problem w innych kategoriach. Natomiast nieuzasadnione mieszanie konwencji teatralnych, wypaczające w dodatku sens sztuki, budzi sprzeciw. Groteskowe potraktowanie postaci Szrajera, a częściowo nawet Przyciechowskiego osłabiało wymowę spektaklu, stępiało jego ideologiczne ostrze. Rozumiem. Elwira Turska postanowiła ośmieszyć mieszczucha, groszoroba i centusia (Szrajer), więc uczyniła z niego manekina, który wywołuje ogólną wesołość widowni. Jednak dzięki temu zabiegowi dramat wewnętrzny osób osaczonych, pani Wróblewskiej i jej córki Jadwigi stał się iluzoryczny, prawie nierzeczywisty. Okazuje się, że „nowatorska" interpretacja dramatów klasycznych nie zawsze zdaje egzamin. W podobny sposób Teatr TV zaprzepaścił „Ożenek" Gogola. Miast odkrywczego spojrzenia zafałszowanie właściwych treści utworu. Nieporozumieniem wydaje się również szablonowe ustawienie postaci na scenie. Naiwna Hania, młodsza córka p. Wróblewskiej, dwukrotnie wygłasza kwestie oparta o ramę wielkiego lustra, by widzowie mieli przyjemność oglądać odbicie jej twarzy. Powtarzam: dwukrotnie. Podobną pozę przyjmuje Jadwiga w momencie kiedy „gra" rozpacz. Nic więc dziwnego, że scenki te przeradzają się w sentymentalne, w złym guście obrazki. Tyle o reżyserii.

Od strony aktorskiej przedstawienie było nierówne. Być może, dezorganizująca niejednolitość koncepcji reżyserskiej zaważyła również na poszczególnych rolach. Pokaz pięknej gry dała Janina Majewska jako pani Wróblewska. Artystka wypunktowała niejako cechy charakteru kobiety, która w zależności od sytuacji jest kostyczna i brutalna, opryskliwa i łagodna, władcza i gotowa przyjąć największe upokorzenie byle tylko zapewnić byt swoim dzieciom. Nie zapomina, że jest matką i to czyni jej postać piękną, mimo że ostatecznie ugina się, skazując swoją córkę Jadwigę na hańbę. Lidia Maksymowicz jako Jadwiga Lisiecka wydobyła z roli narastanie wewnętrznego buntu przeciwko ohydzie otaczającego świata i bezsilność kobiety, która znalazła się w ślepym zaułku i musi zrezygnować z własnego szczęścia, by kupić znośną egzystencję dla całej rodziny. Niekiedy artystce brakowało głębszych środków wyrazu i wtedy poprzestawała na chwytach zewnętrznych, jałowych, jak np. monolog przy lustrze. Wyróżniła się także Irena Żuromska w roli Ostrowskiej. Wbrew własnym upodobaniom do gry efektownej ale stereotypowej (Pani Van Laere w „Dobranoc Patrycjo" Benedettiego, Kobieta w „Czwartym" Simonowa, Skirina w „Księżniczce Turandot" Gozziego), tym razem zagrała w sposób zwarty i oszczędny unikając niepotrzebnych ruchów i zbędnej mimiki. Ireneusz Erwan czuł się źle w roli podstarzałego amanta mecenasa Przyciechowskiego. W dialogach zatarła się oschła brutalność tej postaci. Przyciechowski Erwana był mniejszym łotrem niż chciał tego autor. Adam Fornal, jako rzeźbiarz Porębski nie wyczuł właściwego tętna roli. Porębski artysta - cygan był w gruncie rzeczy bardzo prostolinijny. Prostolinijność ta wypływała z uczciwości i prawości charakteru. Fornal nie wydobył tych cech postaci. Brakło mu wigoru artysty, który nie pojmując złożoności świata do czasu zachowywał pogodę ducha.

W pozostałych rolach wystąpili: Elżbieta Szmoniewska (Hania), Irena Chudzikówna (Karolcia), Alina Zydroń (Dama w szlafroku), Tadeusz Czarnowski (Władek) i Franciszek Buratowski (Szrajer).

Piotr Choynowski — Ruchome piaski. Sztuka w 3 aktach. Reżyseria: Elwira Turska. Scenografia: Karol Gajewski. Premiera w Państwowym Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie.

JAN ŁYSAKOWSKI

„GUZIKOWY"

Noc ciepła, bezwietrzna. Opadła czarną płachtą, pochłonęła wzgórza, zarośla, pola, płachta przekłuta gwiazdami jak miliardem dziurek. Psy zmęczone szczekaniem, podawaniem sobie hasła drzemały przy budach. Czerń, ciemność...

Światła kopalni przeorują noc, odgarniają ją na boki. Płoną jasno rzędy jarzeniówek wzdłuż taśmociągów, jakby iluminowane bieleją budynki zarządu, warsztaty, bazy transportu. W dole, ogromnym dole przetkanym taśmami, koparkami, rozsypane ogniska — kępy blasku. Prześwietlają nierówną koronkę pokładu rudy, księżycowe dno wyrobiska, zwały bezużytecznej ziemi... Ostre plamy czerni zdają się otaczać te ogniska, dusić, dławić...

Zjawa ze snu, plątanina jasności i mroku, plątanina przewodów, stali, wież, konstrukcji... Cichutki szmer prądu w transformatorach, jednostajny, monotonny szmer taśmociągu... I głos donośny, zgrzytliwy, jakby zardzewiały, to zagłuszający ciszę, to znów przytłumiony, niczym bekniecie żelaznego potwora z niedobrej bajki.

Człowiek porusza się, końcem buta wpycha w ogień kawałek deski. Dym zachybotał, powlókł się nisko nad ziemią, by po chwili znów piąć się prostym słupem w górę. Człowiek jest sam. Z jasnej ulicy świateł nadbiega nieprzerwany pas gumy z wąską strużką ziemi. Tu wspina się i przesypuje ją na pas idący w górę, do zwałowarki. Jakby na ziemi nie było już nic i nikogo, tylko te dwa pasy taśmociągu, obramowane jarzeniówkami.

Człowiek podnosi głowę, chwilę patrzy na tablicę rozdzielczą. Potem znów wlepia wzrok w płonące w małym ognisku trzaski. Lekki zapach dymu, żywicy uspokaja. Zna to, ten zapach wioskowy, zapach ogniska palonego, gdy jeszcze chodził na nocne pastwisko. Jeden znak dawnego czasu, zjawiający się tu, w wywróconej na nice ziemi.

Czarny smok wolno, prawie niedostrzegalnie pełznie po szynach. Jęczą, zgrzytają czerpaki. Niby nożem tną ziemię, przesypują ją na taśmę. Metr za metrem. Jednako: miedze trawą zarosłe, zagony wąskie, hektary urodzajne.

Miedze... Walentemu Skubie worał się sąsiad. Niedużo, jedną skibę. Zasiał zaraz, zabronował. Potem usiadł, zapalił. Patrzy... Niby nic, jedna skiba. Długa skiba. Urośnie co nieco... Patrzy na konia. Ech, żebra mu widać. Trawa już dobra, soczysta, ale cóż sama trawa znaczy? Toć to przecież robotnik. Ziarna mu podsypać do sieczki, zmieszać z wodą. Albo zemleć na otręby...

Trzeba jutro do młyna. Niby po żniwach tego zboża trochę było. Jakby go coś jadło od spodu, połykało. Strasznie prędko zniknęło. Do miasta na sprzedaż, pożyczone od sąsiadów, na chleb. A teraz dzielić trzeba. Człowiekowi ręka się trzęsie nim miarkę do worka nasypie.

— Worałeś się? — podnosi głowę. To Skuba. Czapkę przesunął na tył głowy, w ręku kij. Oczy dzikie. Człowiek wstał z bruzdy, cofa się o krok.

— To moje.

— Worałeś się?

— Moje.

— Dziadu. Wiecznie cudzym żyjesz — krok do przodu, wzniesiony kij.

— Krew na oczach, ręce same chwytają orczyk. Skuba bije jak cepem, mocno, raz przy razie.

Człowiek ociera czoło rękawem, nie patrzy na czerwoną plamę. Skuba leży nieruchomo. Twarz utytłana ziemią z krwią, włosy zlepione. I krzyk kobiety:

— Zabił! Zabił go, zbój przeklęty! Żeby cię ziemia przyjąć nie chciała, za moje sieroty nieszczęsne!

— Ziemia. Skąpo jej od miedzy do miedzy, wozem nie obrócisz. Wymagająca ona. Chodzisz po zagonie od świtu do nocy, drzesz gnój z obórki. Żeby to był ze słomą, dobry, urodzajny. A tu liście zagrabione jesienią, perz wyczesany na polu, wysuszony. Przemieszała to kopytami chuda krowina. Wyrzucasz go na pole, obliczasz. Tylko starczy pod kartofle, a i to skąpo. Rwie ten gnój i patrzy na słońce. Szybkie ono. Strasznie prędko idzie ku ziemi. A Wicek się grzebie. Wozić trzeba. I tak już się uzbierało odrobku, uzbierało. Przyjdą żniwa, trzeba będzie pójść z kosą. Swoje zaczeka. Ba, ten co konia daje i wóz ma prawo. Łaskę przecież robi.

— Mały ten zagon, a roboty dużo. Bo i co innego zostało? Nigdzie nic nie ma. Stał przecież i przy kolei i przy murarzach, prosił o robotę. Wszędzie to samo:

— Ech, ojciec ojciec... Roboty? Toć my ludzi zwalniamy. O przyjęciu mowy nie ma.

— Albo prościej, ostrzej:

— Nie zawracajcie głowy.

Szumi ziemia na taśmociągu. Ziemia. O mały spłacheć procesował się Blizna z Tabaką. Na dziadów oba zeszli, co mieli, to adwokaci wyciągnęli. Lata całe, wokoło to samo: rozprawa, apelacja, odwołanie, rozprawa. Bijali się też często, nie sami, całymi rodami. Namnożyło się z tego policyjnych protokołów. I znów rozprawy. To jeden, to drugi szedł odsiadywać. Aż Blizną spalił Tabakę. Chytrze spalił, niczego mu nie udowodnili. Komendant z Koprzywnicy odgrażał się wprawdzie, ale niczego nie doszedł. Ponoć Franek Leśniak coś wiedział, ale pary z gęby nie puścił. Po co mu to? Szwagra Blizny się chyba przeląkł. Groźny był. Ino podpił, to zaraz do bójki szedł. Takiemu lepiej w drogę nie wchodzić.

Ziemia. Głucha ona, obojętna. Niemało widziała, słyszała. Przekleństw, narzekania, płaczu.

Żeby teraz przyszedł kto, usiadł obok na ławce. Ot, leci sobie taśmociąg, cisza, spokój. Sztygar nie chodzi. Co mu tam. Widno na zwałowarce wszystko w porządku. Można by popalić, pogwarzyć. O ziemi! O życiu. Jakie to czasy różne. Za morgę brat brata bijał, ojców starych z chałupy na mróz wyrzucano jak tylko zapis uczynili, sąsiad sąsiada procesem gnębił. Ożenił się Florek Zięba, chłopak jak świeca, biedny niczym mysz kościelna z panną starszą od siebie, ślepą na jedno oko. Dla morgów. Zła baba, sekutnica. Wiecznie mu te morgi wypominała, od dziadów wyzywała.

O chlebie, co go nigdy na przednówku nie było, o odrobkach u bogatych w najgorętszy czas sianokosów czy żniw. Jak pan rządca we dworze w ludziach przebierał. Ten mu za bardzo zabiedzony, chyba do żarcia tylko zdatny, temu wilkiem z oczu patrzy. Nisko kłaniać się przychodziło, nim dał zarobić tę złotówkę.

O dzieciach na służbie. Płakały czasem, bo gospodarz i do kija się brał. Ojciec rady dawał:

— Skóra wytrzyma. Wielkie rzeczy, biją. Jego prawo, przecież gospodarz.

Jakoś w wojnę nowy wiatr powiał. Ludzie gadać zaczęli. O ziemi, o panach, o jakichś nowych porządkach. A potem. Różności, różności. Młodzi do szkół się ruszyli, do roboty. Ponoć o nią łatwiej. Gdzieś tam fabryki budują wielkie, całe miasta. Gdzieś. Tu, za Wisłą chyba jednako będzie do skończenia świata. Nie doda nikt ziemi, nie zamieni ją w lepszą.

Początkowo nie wierzyli. Siarka? Tu, u nas? Eee, ino tak gadają. Żeby ludzi oszukać, w pole wywieść. Coś tam musi być innego. Chodzą po polach, wiercą mierzą. Nie powiedzą prawdy. Zamysł jakiś tajny na pewno mają.

Na budowę szli ludzie. Ba, wołali ich na-

(Ciąg dalszy na str. 4)

na wprost

WIZYTÓWKA

Każde miasto ma swoją reprezentacyjną dzielnicę, pasaż handlowy, deptak lub park. Stanowią one swoistego rodzaju kartę wizytową danego środowiska. Dla Rzeszowa jest nią ul. 3 Maja.

Kiedy chcemy przedstawić Rzeszów przyjezdnym, zwykle najpierw ich tu przyprowadzamy. Ulica 3 Maja, którą otwiera charakterystyczna dzwonnica, a zamyka aleja Komunistów, i budynek Polskiego Radia, jest dla przybysza jakoby synonimem nazwy Rzeszów. Tu rzeczywiście koncentruje się życie miasta. Jest ona mariażem pasażu handlowego z dzielnicą placówek kulturalnych. Na niedużym skrawku miasta znalazły pomieszczenia z ładnymi, chociaż nie zawsze dobrze utrzymanymi wnętrzami, magazyny i sklepy najbardziej interesujące wszystkie warstwy rzeszowskiej społeczności i te, które głównie absorbują uwagę przybyszy.

Rzeszowianie pamiętają, że utworzenie takiego centrum miasta nie było łatwe. Pochłonęło wiele pieniążków, czasu i wysiłków. Czas i fundusze zostały właściwie wykorzystane i dały pożądany efekt. Jest interesujące centrum!

Jednak niektórzy organizatorzy życia naszego miasta do tego stopnia przejęli się przebudową, rozbudową i urządzaniem, że jeszcze teraz, kiedy niektóre dzielnice przybrały własny, reprezentacyjny i właściwy charakter oraz wykazują tendencję stabilizacji — nadal skupiają na nich całą swą inwencję twórczą i uwagę. Głowią się, co by tu można zmienić...

Niedawno, bo zaledwie pół roku temu, nadarzyła się okazja, aby wykazać inicjatywę w tej dziedzinie. Pamiętamy jeszcze z jaką pompą wydawnictwo „Książka i Wiedza" otwierało w ub. roku salon wydawnictw własnych. Projektowano wówczas organizowanie w tym lokalu spotkań autorskich, dyskusji przy kawie itp. Rok pracy wykazał, że założenia te nie tak łatwo realizować i KiW doszedł do wniosku, że nie opłaca mu się utrzymywanie w Rzeszowie aż tak reprezentacyjnej placówki. Za pośrednictwem Ministerstwa Kultury skontaktował się z „Domem Książki" i przekazał swą rzeszowską placówkę właśnie temu przedsiębiorstwu kolportażu książek, zastrzegając sobie pierwszeństwo w sprzedaży wydawnictw własnych oraz przejęcia działalności kulturalnej i oświatowej, do jakiej się w swoim czasie wobec miasta zobowiązał. Warunki i zastrzeżenia przyjął „Dom Książki" i od maja br. do napisu „Salon KiW" doszły słowa „Księgarnia Domu Książki". Asortyment książek został poszerzony, a praca nowej placówki z miejsca ruszyła pełną parą. Dziś obroty tej placówki osiągają ok. 70 tys. zł miesięcznie. Księgarnia zyskała sobie popularność, co świadczy, jak bardzo jest potrzebna.

Przekształcając salon w księgarnię, obie instytucje sprawę załatwiły między sobą, ale były na tyle uprzejme, że zawiadomiły władze miejskie o dokonanej transakcji. Jest to najzwyklejsze łamanie przepisów gospodarki lokalami, a posunięcia niezgodne z praworządnością muszą być ukarane. Sposobów jest jednak wiele. Prezydium MRN poszło najprostszą drogą i wyciągnęło wobec przedsiębiorstwa takie sankcje, jakie stosuje się wobec każdego obywatela. Po prostu wydało nakaz eksmisji, nie licząc się z zapotrzebowaniem społecznym na tego rodzaju placówkę przez Rzeszów — młody ośrodek uniwersytecki, nie licząc się z tym, że przystosowanie lokalu do potrzeb księgarskich kosztowało setki tysięcy złotych. Czy naprawdę jesteśmy miastem aż tak bogatym i stać nas na to, aby z powodu niedopatrzeń administracyjnych niektórych osób zniweczyć grube tysiące społecznych funduszy? Sprawiedliwości musi stać się zadość, ale nie za wszelką cenę! Sprawiedliwość i każda cena — to dwie różne rzeczy. Nie wolno zmarnować ani jednego grosza społecznego, tak jak nie wolno pobłażać omijaniu przepisów. Jak powiedziano: to są dwie różne sprawy, które muszą znaleźć różne rozwiązania.

I właśnie zamiast szukać tych rozwiązań, zwolennicy „urozmaicania" sprawę księgarni zamknęli nakazem eksmisyjnym i zaczęli myśleć co w tak ładnym lokalu można by zorganizować. I postanowiono otworzyć tu sklep z artykułami sportowymi, a na miejscu dotychczasowego sklepu ze sprzętem sportowym urządzić składnicę harcerską. Ruch w interesie jest — zatarli ręce.

Stop, panowie! Tak robić nie wolno! Ul. 3 Maja ma ukształtowany charakter i rozmieszczenie przy niej placówek tak kulturalnych, jak i handlowych — jak najbardziej odpowiada zapotrzebowaniu społeczeństwa rzeszowskiego. Nie jesteśmy ani państwem, ani miastem bogaczy, aby w imię praworządności wyrzucać pieniądze i to społeczne pieniądze w błoto. Trzeba znaleźć wyjście z tej niecodziennej sytuacji i to jak najszybciej. Sprawa ciągnie się od 11 maja br. Czas ją zakończyć. Wydaje się, że jej załatwienie powinien przejąć przewodniczący Prez. MRN. Interes społeczny wymaga utrzymania tej placówki.

MARGOT

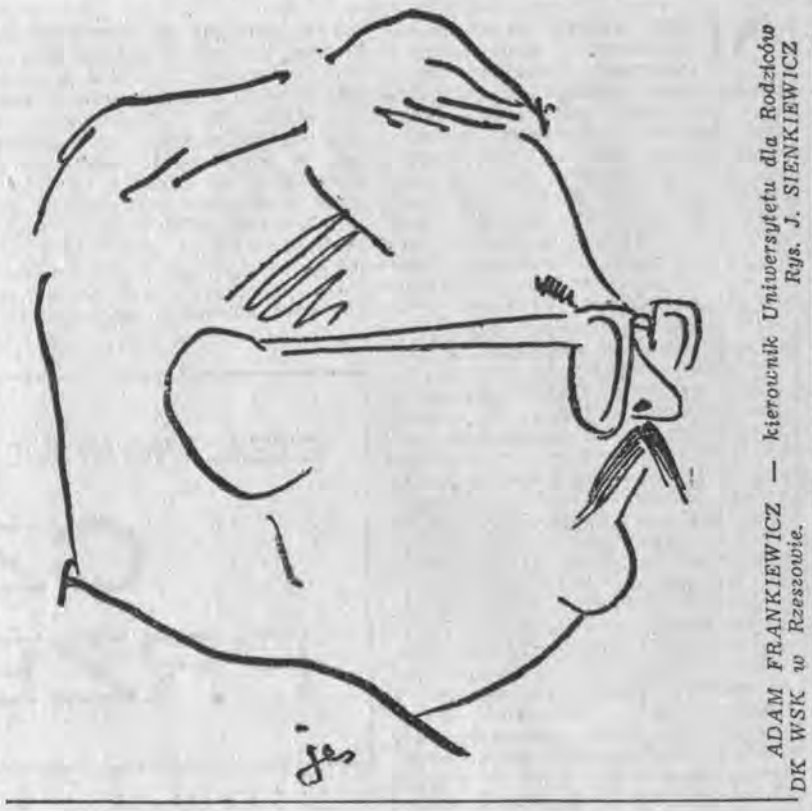

ADAM FRANKIEWICZ — kierownik Uniwersytetu dla Rodziców DK WSK w Rzeszowie. Rys. J. SIENKIEWICZ

CHACZATURIAN ŻAŁUJE
że napisał „Taniec z szablami"

„W mojej muzycznej rodzince jest jedno nieznośne i hałaśliwe dziecię. Słowo honoru, gdybym wiedział, że zdobędzie ono taką popularność i zacznie odpychać łokciami pozostałe utwory, to nigdy bym go nie napisał" — tak mówi Aram Chaczaturian o słynnym „Tańcu z szablami" z baletu „Gajane".

Światowej sławy kompozytor radziecki, który obchodzi właśnie 60. rocznicę urodzin, ma za złe reklamie zagranicznej, że prezentuje go często jako „mister sabre-dance" (po angielsku „sabre" — szabla). Uważa to za niesprawiedliwość.

Chaczaturian zwierzył się dziennikarzom, że popularny taniec powstał właściwie... przypadkiem i wbrew woli autora. Było to w 1942 roku, w mieście Perm, gdzie przygotowywano premierę „Gajane". Dyrektor miejscowego teatru uznał, że w ostatnim akcie warto by jeszcze dodać taniec. Chaczaturian początkowo nie zgadzał się, bo uważał balet za zakończony, ale potem w domu zasiadł do fortepianu. Tej samej nocy „Taniec z szablami" był gotowy, a następnego dnia rano odegrano go na próbie.

WIDNOKRĄG odpowiada

P. ANNA MILEWICZ: Redaktor działu za miłe słowa dziękuje. Intencja nieco zawiodła, lepiej może próbować sił w poezji. Przykrości dotyczyły innej osoby. Wiersze w pierwszej przesyłce były ciekawsze od nadesłanych później („Miniaturka z różą", „Pamiętam"). Chyba tą drogą należałoby iść nadal. Te utwory zatrzymujemy w teczce do ewentualnego wykorzystania, oczywiście bez gwarancji. Prosimy o utrzymanie z nami kontaktu i nadsyłanie nowych wierszy.

P. E. S. PRZEMYŚL: Pisze Pan o rzece tak: „A piękność jej jest wielka niezmierzona! Czasem choć szkodliwa i wzburzona i choć nieszczęście zagarnia w swe wielkie ramiona, jest zawsze spokojna i niezwyciężona". Czy Pan naprawdę sądzi, że to poezja? Dajemy Panu uroczyste słowo, że nie i radzimy szybko przestać.

P. J. K. IWONICZ: Doceniamy Pana szlachetne intencje „pogłębiania patriotyzmu naszego narodu" w wierszu „Sława Polski — złota jesień", lecz nie wydrukujemy. Mamy wątpliwości co do sformułowania: „Nie jest to prawda, lecz rzecz oczywista, że każdy woli jesień niż twista". Co powiedzą ci, którzy wolą jednak twista? Wiersz antyalkoholowy nie tylko „nie ma wspaniałej budowy" jak Pan pisze, ale i sensu. Okazuje się, że dobre chęci nie wystarczą, trzeba mieć jeszcze trochę talentu i umiejętności, których niestety w wierszach Pana nie dostrzegliśmy.

„SZERSZEŃ". Informuje nas Pan, że taki wiersz pisze pan zwykle 10 minut. Może właśnie dlatego nie nadaje się do publikacji. Praca nad słowem wymaga wielkiego wysiłku, trudu i czasu. Sam talent, jeśli się go posiada nie wystarczy. Wiersz, niestety, nie ma żadnych wartości artystycznych.

Zdarzenia TYGODNIA

Z okazji trwających Dni Kultury i Nauki Radzieckiej w całym kraju odbywa się przegląd teatrów słowa. Przeglądy takie, zorganizowane staraniem ZW TPPR, WKZZ i Woj. Oddziału Związku Teatrów Amatorskich odbyły się ostatnio w Rzeszowie i Przemyślu.

W Rzeszowie wystąpiły zespoły: Młodzieżowy Teatr Słowa ZTA, działający przy „Tapimie" w Tarnobrzegu (Poemat Włodzimierza Majakowskiego „Dobrze" w opracowaniu i reżyserii E. Buchelta), Teatr Słowa PDK Sanok (kompozycja poetycka z wyboru poetów radzieckich pt. „Człowiekowi w drodze" w oprac. i reżyserii Krystyny Krawczyk-Pietraszek) i Teatr Słowa „Meluzyna (ZDK WSK w Rzeszowie) Aleksander Twardowski — „Wasyl Tiorkin na tamtym świecie" (w oprac. i reżyserii E. Buchelta).

Natomiast w Przemyślu wystąpił tamtejszy Teatr Słowa Towarzystwa Dramatycznego „Fredreum" z kompozycją wg Włodzimierza Majakowskiego „Drogowskaz słoneczny" w opracowaniu i reżyserii Marii Nogowej.

Komisja, działająca pod kierownictwem Juliana Przybosia, oceniła przegląd zespołów woj. rzeszowskiego bardzo wysoko. Wyniki przeglądu zostaną jednak ogłoszone po zakończeniu przeglądów wojewódzkich w całym kraju.

* * *

Na zaproszenie Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki do naszego województwa przybywa Jan Bolesław Ożóg, który w dniach od 3 do 4 bm. odbędzie szereg spotkań autorskich w zakładach pracy Rzeszowa i kilku miejscowościach powiatów ropczyckiego i kolbuszowskiego.

* * *

Od 27 X w salach Związku Polskich Artystów Plastyków w Rzeszowie przy pl. Zwycięstwa 2 czynna jest wystawa prac krakowskiego artysty malarza Adama Hoffmanna. Ekspozycja obejmuje około 40 prac z zakresu malarstwa i rysunku. Wystawa czynna będzie do 17 bm.

* * *

Z okazji trwających Dni Filmu Radzieckiego w WDK w Rzeszowie otwarto wystawę radzieckiego plakatu filmowego. Organizatorem tej wystawy jest CWF, BWA i WDK.

* * *

Rozstrzygnięty został konkurs na najlepsze zdjęcie o tematyce SFOS, ogłoszony z okazji tegorocznego Miesiąca Odbudowy Warszawy. Na konkurs wpłynęło ponad 50 fotogramów. Pierwsze miejsce jury konkursu przyznało Tadeuszowi Ryszowi.

* * *

W wypełnionej po brzegi publicznością czytelni biblioteki gromadzkiej w Strzegocicach pow. Dębica, odbyła się inauguracja nowego roku pracy kulturalno-oświatowej.

(Ciąg dalszy ze str. 3)

wet. Przyjeżdżali tacy różni urzędnicy. Potem po drogach tłukły się ciężarówki. Rano i po południu. Po piętnastym i po ostatnim w gospodzie gwarno. Ludzie w waciakach rozprawiają. Siadywał sobie z boku i słuchał o sprawach dziwnych. Norma, plan, brygada, rozruch, wykop, zwałka, koparki, taśmociągi. Ile to zarobił ten czy tamten. Który kierownik to ludzki chłop, a który zły.

Obszedł swoje gospodarstwo, obejrzał każdy kąt. Chałupa już wrosła w ziemię. Nic jej nie pomoże. Jedyne wyjście — walić i obok stawiać nową. Zabudowania nie lepsze. Krowina stara, coraz mniej mleka daje... Oblicza w myśli wydatki. Choć głową o mur bij. Nie wystarczy. Człowiek wzdycha i poprawia się na ławce. Tak, trzeba powiedzieć, że szedł ze strachem. Niósł nagryzmolone na kartce podanie i myślał czy się nie cofnąć. Ale poszedł.

Kopalnia. Siedzi i łapie słuchem: idzie kopalnia. Koparka kraje ziemię. Pada ona na taśmy, biegnie na zwałkę. Pracują pompy. Dzień i noc, dzień i noc. Czarne strumienie przecinają kopalnię. Bulgoce woda, bije z niej zapach jakby zgniłych jajek. Siarkowodór. Gaz pono taki. Dziś ruda stoi. Milczą młyny.

Szumią silniki. Głos mają cichy, monotonny. Łatwo usnąć. Silne. Obracają rolki, pędzą długie płaty czarnej gumy. Strach był z początku. Człowiek ruszał dźwignię, naciskał guziki. Budziła się ta siła. Jeden brygadzista powiedział: to więcej niż wszystkie konie z waszej wsi. Drugi tłumaczył: uważajcie ojciec, z prądem żartów nie ma. Trzepnie i z człowieka zostanie tylko wspomnienie.

Człowiek poprawia się na ławce. Tak, nikomu nie chciał pokazać swego strachu. Bał się nie raz i nie dwa. Drżały ręce nim nacisnął guzik, obudził siłę uśpioną w owalnym korpusie, przyczajoną w grubych przewodach. Bo to wiadomo co może być? Czasem coś trzaskało, bryzgały iskry, stawały silniki. Przychodzili ludzie z brygady remontowej. Ich starszy wydziwiał:

— Szlag by was trafił, silnik to nie pług. Ostrożnie trzeba, delikatnie. Obroty mu najpierw dać, potem obciążenie. Nasmaruj go jeden z drugim, ziemię odrzuć spod wałków. Widły, jak gnój wyrzucisz, też oczyścisz.

Często ten gnój wypominali. Szczególnie ci z obsługi, chłopaki po szkołach, w świecie otarte i na budowach. Bywało, że i sztygar się zdenerwował.

Oj, czasem to lepiej by było ten gnój wyrzucać. Tam wszystko znane, swojskie, niegroźne. Wiadomo jak zrobić i co zrobić. Gdzie trza mocniej nacisnąć, a gdzie można ot tak sobie, spokojnie.

Żniwa szły. Zboże żółkło, szeleściło dojrzałymi kłosami. Czas brać kosę. Jednego popołudnia obszedł zagon, spróbował ziarna. Dobre. Obliczył w myśli: jak się zacznie od rana, cały dzień, to skosi ten kawałek. Potem tam za strumykiem. Kopalnia? Niech tam. Dwa dni musi być w domu.

Brygadzista kiwał głową:

— Ech ojciec, stary chłop, a nie rozumiecie. Jakże tak? Bumelek wam się zachciało?

Tłumaczył. Jaka tam bumelka? Toć żyto dojrzało, ciąć było czas. Co popołudniem zrobi? Mało. A tak, to już jest po żniwach.

Taśma stała. Chodził więc z łopatą i wygrzebywał ziemię spod rolek. Rzucał ją na czarną gumę. Dumał: co to będzie? Brygadzista się odgrażał. Na pewno powie sztygarowi, że nie trzeba mu takich robotników.

Ktoś szedł wzdłuż taśmy. Gumowe buty, rozpięta, kraciasta koszula. Znał go. Wszyscy mówili na niego: sekretarz partii.

— Jak tam taśma?

— Ano, jakoś chodzi.

Sekretarz wyciągnął papierosy. Zapalili, pykneli dymem.

— Jak tam żniwa?

Pogadali o zbożu, pogodzie, spodziewanym plonie. Potem niespodziewanie sekretarz powiedział:

— Zwolnić was trzeba z roboty, ot co.

Człowiek zastygł w bezruchu.

— Czego?

— Plan kładziecie.

— Żniwa przecież były.

— Żniwa, rzecz ważna. Ale pomyślcie: wy na żniwa, sąsiad na żniwa, bo też ma prawo jak i wy, inni na żniwa. Stanie taśmociąg? Jasne, że tak. Stanie ziemia, to nie pójdzie i ruda. Bez rudy stanie kombinat. Ludzie zostaną bez roboty, inne fabryki też nie pójdą. Czekają przecież to na siarkę, to na kwas siarkowy. Superfosfat nie pójdzie dla rolników.

— Przeze mnie jednego?

— Nie, przez jednego to nie. Ale jak tak każdy powie?

Dumał i dumał nad tym, co powiedział sekretarz. Chodził, patrzył, myślał. Ot, u nich na nadkładzie: obsługa koparki nie da rady bez tych od elektryczności. Oni prąd dostają z daleka. Ludzie gdzieś tam pracują, kopalni nigdy nie zobaczą, a tu bez nich robota nie pójdzie. Gdyby nie przyszli do pracy — nie będzie prądu. Ot, przy taśmociągach rudy są też ludzie. Z ich wioski nawet. Im koparki rudę narzucają. Ale inni wiercą otwory, zakładają dynamit, kruszą rudę. Ktoś tam myśli o uszkodzeniach, naprawia je. Są tacy co w łaźni palą, w kiosku kiełbasę sprzedają, ktoś zarobki oblicza, pieniądze przywozi. Każdy coś robi, co drugim potrzebne. A razem to jest kopalnia.

Dziwi się czasem. Ludzie o plan drżą, chcą tej rudy dużo urobić, wysłać. Sąsiad, Bolech, to prosto mówi:

— Żebyś ty takie pieniądze brał, jak inżynierowie, to też byś latał za planem.

Pieniądze. Ludzie różne rzeczy za nie i dla nich robią. Wiadomo. I chyba nie ma takiego, co by powiedział: nie chcę. Ale...

Zima, jak mróz chwycił, zaniosło śniegiem, trudno było. Taśmy pękały, ruda marzła na rolkach. Nie szło. Z niektórych wiosek nie przyjechały zmiany. Pamięta: przez wyrobisko idzie paru ludzi. Gadają.

— Na dwójce znów awaria. Stoi.

— Cholera.

— Ludzie nie przyszli.

— Trzeba dzwonić po pługi.

— Nie przebije.

— To co, zatrzymać?

Idący nieco w przodzie, wysoki, szczupły, zatrzymał się raptownie. Stanęli i inni. Cisza. I pytanie:

— Mówicie, zatrzymać?

Wysoki patrzy tamtym w twarze. Wreszcie mówi:

— W Machowie mają zapas tylko na jeden dzień.

Poszli. Znów dyskutowali. Usłyszał tylko tyle, żeby zrozumieć: wszyscy zostaną ile będzie trzeba. Ruda pójdzie. Więc jak to jest z tą Bolechową pogaduszką o pieniądzach?

Szumi taśma, cichutko trzaska ogienek. W oczach jakby piasek. Gdyby tylko głowę odchylić, oprzeć o ścianę, już by dobrze było. Taśmociąg idzie. Choćby pospać te pół godzinki, to przecież co się stanie?

Noc mruga milionem malutkich oczek. Rząd jarzeniówek biegnie tam, w stronę lasku, zlewa się w jasną smugę. Zgrzyta koparka. Wokoło pusto, sennie. Człowiek wstaje, robi dwa kroki. Przeciąga się. Ech, przespać by się trochę. Zawraca, zdejmuje słuchawkę, nakręca numer.

— No, co tam? — słyszy.

Stoi tak chwilę i w[illegible]cie ponaglony ponownym: „czego chcecie?" mówi cicho:

— Nic, w porządku.

Mocno przyciska słuchawkę, łowi szmery. Jakoś przyjemnie. Nawet, gdy tamten burczy:

— Zawracanie głowy. Jak w porządku to czego?

Niechby nawet wymyślał. Człowiek. Dobrze usłyszeć taki głos. Odkłada słuchawkę i znów siada na ławeczce. Jak w porządku, to dobrze. Patrzy teraz na wschód. Nad olszynami jakby nieco pojaśniało.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: redaktor naczelny 4775, zastępca redaktora naczelnego 4618, zespół redakcyjny 2056, 2857 wewn. 138.